

**TO HISTORIA O TYM**, jak to się stało, że miałam w oczach okruszki z precli.

Nie jest ona długa.

Wiosną 2017 roku leciałam z Los Angeles do Nowego Jorku na konferencję. Często latam na tej trasie i zawsze biorę ze sobą kilka książek do czytania. Na ten lot wzięłam egzemplarz wspomnianej książki, którą właśnie trzymasz w ręku. Nie wiedziałam zbyt wiele na jej temat, ale już wtedy byłam fanką twórczości Niny LaCour. Czytałam wcześniej *The Disenchantments*, piękną opowieść autorstwa Niny o złamanym sercu i codziennym życiu w zespole. Czytałam też *Everything Leads to You*, która opowiadała o sekretach, drugich miłościach i drugich szansach.

I tak jak mam w swoim czytelniczym zwyczaju podczas lotu, odczekałam, aż minęły wszystkie komunikaty poprzedzające start, światło w kabinie przygasło i wyłączyła się sygnalizacja zapiętych pasów. Następnie założyłam słuchawki i zaczęłam lekturę. Już od pierwszych słów wiedziałam, że

będzie to wyjątkowa książka. Proza Niny jest oszczędna, pełna radości i świeżości. Każde zdanie sprawia wrażenie, jakby się rodziło coś nowego. A za pięknem tej prozy kryje się poruszający obraz wędrowki Marin – od srogiej samotności pełnej żalu do nieśmiałej i delikatnej nadziei na przyszłość. Każdy, kto doświadczył w życiu zawodu, odnajdzie się w historii Marin.

Nie pamiętam zbyt wiele z tego, co się działo w samolocie. Pewnie musiałam powiedzieć „tak”, gdy obsługa pytała mnie, czy chcę wodę i precle. Możliwe, że przesunęłam się, żeby przepuścić sąsiada wychodzącego do toalety. Jednak z tego lotu pamiętam tylko *Tak jest okej*. To, jak ta książka poruszyła we mnie wrażliwą strunę. W jaki sposób Nina budowała ten niewielki, skrzący się świat pełen piękna, uczuć i prawdy.

Doszedłam do końca akurat w momencie, gdy samolot zaczął podchodzić do lądowania w Nowym Jorku. Czułam wzbierające łzy, gdy czytałam ostatnie słowa. Kto mnie zna, ten wie, że jestem bardzo nieśmiała i skryta. Nie płaczę publicznie. Jednak sygnalizacja zapiętych pasów już się świeciła, więc nie mogłam wstać, przeprosić i wyjść do łazienki, żeby się spokojnie wypłakać w samotności. Nie miałam chusteczek, tylko jedną serwetkę, całą w okruszkach z precli. Miałam za to pełno łez – radości i oczyszczenia – które musiałam otrzeć.

No i tak.

Teraz już wiecie, jak to się stało, że miałam w oczach okruszki z precli.

To naprawdę piękna książka. Bardzo ją pokochałam i wierzę, że Ty też ją pokochasz.

Nicola Yoon

*Kristyn, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej,  
i pamięci mojego dziadka Josepha LaCoura –  
jesteś w moim sercu na zawsze!*



## rozdział pierwszy

**ZANIM HANNAH WYJECHAŁA**, zapytała, czy jestem pewna, że dam sobie radę. Odczekała pół godziny po tym, jak zamknęły się drzwi za ostatnimi studentami wyjeżdżającymi na przerwę zimową i zostały tylko sprzątaczkі. Złożyła całą stertę prania, napisała maila, przeszukała opasłe tomisko do psychologii, żeby sprawdzić, czy udzieliła poprawnych odpowiedzi na egzaminie końcowym. A potem wyczerpały jej się pomysły, co robić, więc gdy odpowiedziałam, że dam sobie radę, nie pozostało jej już nic, tylko uwierzyć mi na słowo.

Pomogłam jej znieść torbę na dół. Przytuliła mnie mocno i oficjalnie, po czym powiedziała:

– Wrócimy od cioci dwudziestego ósmego. Łapię pierwszy pociąg do miasta i jedziemy na przedstawienie.

Przytaknęłam, choć wcale nie byłam pewna, czy tego chcę. Kiedy znalazłam się z powrotem w naszym pokoju, zauważyłam, że zostawiła mi na poduszce zaklejoną kopertę.

Więc jestem teraz sama w budynku. Gapię się na swoje imię, wypisane schludnym pismem Hannah, i staram się nie dopuścić, żebym przez ten drobiazg się rozsypała.

Chyba mam awersję do kopert. Nie chcę jej otwierać. Tak naprawdę nie chcę jej nawet dotykać, dlatego powtarzam sobie, że to na pewno coś miłego. Kartka z życzeniami świątecznymi. Może z jakimś specjalnym przesłaniem dla mnie, a może tylko z podpisem w środku. Cokolwiek to jest, na pewno mnie nie zrani.

Akademiki będą zamknięte przez trwającą miesiąc przerwę międzysemestralną, ale moja opiekunka roku pomogła mi załatwić, żebym mogła tu zostać. W administracji nie byli zbyt szczęśliwi z tego powodu. Wciąż pytali: „Nie masz żadnej rodziny? Albo jakichś znajomych, u których mogłabyś się zatrzymać?”. „Tutaj teraz jest mój dom, dopóki nie skończę studiów”, odpowiadałam. W końcu odpuścili. Kilka dni temu pod drzwiami mojego pokoju pojawiła się wiadomość od kogoś z zakwaterowania z informacją, że w czasie przerwy w kampusie będzie dozorca. Dołączono jego numer telefonu i wiadomość: „Kontaktuj się z nim w każdej sprawie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała”.

A prawda jest taka, że jedyne, czego potrzebuję, to kalifornijskie słońce i bardziej przekonujący uśmiech.

Bez głosów innych ludzi, szumu telewizorów w pokojach, wody płynącej z kranów i spuszczonej w toalecie, pomruku i piknięć mikrofalówek, kroków i trzaskających drzwi – bez tych wszystkich odgłosów życia budynek wydaje się zupełnie inny i dziwny. Mieszkam tu od trzech miesięcy, a mimo to do

tej pory nie zwróciłam uwagi na dźwięk grzejnika: włącza się z kliknięciem i zaraz potem dmucha ciepłem.

Dziś w nocy jestem sama. Jutro na trzy dni przyjedzie Mabel. A potem znów zostanę sama aż do połowy stycznia.

– Gdybym to ja miała spędzić miesiąc sama – powiedziała wczoraj Hannah – zaczęłabym medytować. Klincycznie udowodniono, że medytacja obniża ciśnienie krwi i poprawia funkcjonowanie mózgu. Wspiera nawet układ odpornościowy.

Kilka minut później wyjęła z plecaka książkę.

– Zauważyłam ją niedawno w księgarni. Możesz przeczytać przede mną, jeśli będziesz miała ochotę.

Rzuciła ją na moje łóżko. Zbiór esejów o samotności.

Wiem, dlaczego się o mnie boi. To było zaledwie dwa tygodnie po śmierci Dziadzia, kiedy pierwszy raz stanęłam w drzwiach tego pokoju. Byłam wtedy dla niej nieznaną, która na dodatek wyglądała jak jakaś stuknięta dzikuska. Ale teraz Hannah już mnie zna. Wie, jaką osobą jestem, więc powinnam taką pozostać – dla niej i dla mnie samej.

Minęła zaledwie godzina, a już pojawia się pierwsza pokusa – ciepły koc i łóżko, poduszka i włochata narzuta, którą mama Hannah zostawiła tu po którejś weekendowej wizycie. Wszystkie wołają: „Chodź. Nikt się nie dowie, że spędziłaś cały dzień w łóżku. Nikt się nie dowie, że nosiłaś te same dresy przez cały miesiąc, że jesz każdy posiłek przed telewizorem i używasz T-shirta jako serwetki. Dalej, możesz słuchać w kółko tej samej piosenki, aż jej dźwięki zleją się w jedno. I możesz przespać całą zimę”.

Muszę tylko przetrwać odwiedziny Mabel, a później to wszystko będzie moje. Będę mogła scrollować Twittera, aż zacznie mi się rozmywać obraz, a potem padnę na łóżko jak bohater z utworów Oscara Wilde'a. Mogę skądś wykombinować butelkę whiskey (choć obiecałam Dziadziowi, że tego nie zrobię), żeby wszystko się rozjaśniło, krawędzie pokoju stały się łagodniejsze, a wspomnienia wyrwały się z uwięzi.

Może, jeśli wszystko wokół ucichnie, znów usłyszę, jak on śpiewa.

Tylko że właśnie przed tym próbowała uchronić mnie Hannah.

Sięgam po zbiór esejów. Jest w kolorze indygo, w miękkiej oprawie. Otwieram na stronie z mottem – to cytata z Wendella Berry'ego: „W kręgu ludzi jesteśmy zmęczeni ciągłym staraniem się, brak nam odpoczynku”. Ludzie z mojego najbliższego kręgu uciekli właśnie przed przesywającym zimnem do domów swoich rodziców, do ognia trzaskającego w kominku albo do tropikalnych miejsc, gdzie teraz pozują do zdjęć w bikini i mi-kołajowych czapkach, żeby przesłać znajomym życzenia „Wesołych Świąt”. Postaram się z całych sił zaufać panu Berry'emu i potraktować ich nieobecność jako szansę dla siebie.

Esej na początku dotyczy natury. Pierwszy raz od tak dawna odprężam się, czytając opis przyrody. Autor, którego nazwisko nic mi nie mówi, przez kilka stron opisuje jezioro. Pisze o falach, refleksach światła na wodzie, drobnych kamyczkach na brzegu. Przechodzi do wyporności i stanu nieważkości. To akurat rozumiem. Byłabym gotowa zmierzyć się z zimnem na zewnątrz, jeśli tylko miałabym klucz do krytej pływalni.



Gdybym tylko mogła zaczynać i kończyć każdy dzień tego samotnego miesiąca pływaniem na basenie, czułabym się znacznie lepiej. Ale niestety nie mogę. Więc czytam dalej. Autor proponuje, żeby pomyśleć o naturze jako o sposobie bycia samemu. Twierdzi, że w naszych głowach kryją się jeziora i lasy. Zamknij oczy, zachęca, i wejdź tam.

Zamykam oczy. Grzejnik wyłącza się z kliknięciem. Czeka, żeby sprawdzić, co mnie wypełni.

Powoli nadchodzi obraz. Piasek. Kępy piaskownicy zwyczajnej porastającej plażę i szkło morskie. Mewy i piaskowce. Dźwięk i zaraz potem – szybciej – widok załamujących się fal, uderzających o brzeg i odpływających, znikających w oceanie i niebie. Otwieram oczy. To dla mnie zbyt wiele.

Księżyc za oknem wygląda jak srebrzysty przecinek. Moja lampka na biurku, oświetlająca kartki książki, jest jedynym włączonym światłem we wszystkich stu pokojach budynku. Spisuję rzeczy, które mam robić, gdy Mabel już wyjedzie:

- × *codziennie rano czytać w internecie „New York Times”*
- × *zrobić zakupy spożywcze*
- × *ugotować zupę*
- × *pojechać autobusem do dzielnicy handlowej/biblioteki/kawiarni*
- × *poczytać o samotności*
- × *medytować*
- × *oglądać filmy dokumentalne*
- × *posłuchać podcastów*
- × *znaleźć jakąś nową muzykę...*

Napełniam w łazience czajnik elektryczny i robię sobie zupkę chińską. Jedząc, ściągam audiobooka o medytacji dla początkujących. Włączam go, ale zamiast słuchać, błędzę myślami.

Później staram się zasnąć, ale myśli nieustannie kłębią mi się w głowie. Wszystko mi się zlewa: Hannah, rozmowa o medytacji i przedstawienia na Broadwayu. Dozorca i to, czy będę czegoś od niego potrzebować. Mabel, która przyjeżdża tu, gdzie teraz mieszkam, i sprawia przez to jakoś, że znów staje się częścią mojego życia. Nawet nie wiem, jak dam radę wydusić z siebie „cześć”. Nie mam pojęcia, jak zareaguję – czy będę w stanie się uśmiechnąć i czy w ogóle powinnam. A przez to wszystko przebija się odgłos grzejnika, który włącza się i wyłącza z kliknięciem, które wydaje się tym głośniejsze, im bardziej jestem zmęczona.

Włączam lampkę przy łóżku i znów sięgam po książkę z esejami.

Mogłabym jeszcze raz spróbować tego ćwiczenia, tylko tym razem zrobić to bardziej świadomie. Przywołuję w pamięci sekwoje tak olbrzymie, że potrzeba było pięciu dorosłych osób z wyciągniętymi ramionami, żeby objąć jeden pień. Pod sekwojami były paprocie i kwiaty i wilgotna czarna ziemia. Dobrze jednak wiem, że mój umysł nie zatrzyma się w tym lesie sekwoi. Zresztą teraz jestem już wśród innych drzew – są pokryte śniegiem i nigdy nie obejmowałam ich ramionami. W tym miejscu moja historia sięga tylko trzech miesięcy wstecz. To nowy początek.

Wychodzę z łóżka i na legginsy zakładam spodnie dresowe, a na golf – szeroki sweter. Ciągnę za sobą krzesło do drzwi,

a potem korytarzem w stronę windy. Wciskam guzik na ostatnie piętro. Kiedy tylko drzwi windy się otwierają, przenoszę krzesło pod wielkie, łukowe okno w wieży, gdzie zawsze jest cicho, nawet jeśli akademik jest pełen. Siadam tam z dłońmi na kolanach i stopami opartymi na wykładzinie.

Na zewnątrz widać księżyc, zarys drzew i budynki kampusu, światła wzdłuż alejek. To wszystko jest teraz moim domem i pozostanie nim nadal, gdy Mabel wyjedzie. W ciszy wokół akceptuję tę surową prawdę. Oczy mnie pieką i mam ściśnięte gardło. Gdybym tylko mogła jakoś złagodzić to poczucie osamotnienia. Gdyby tylko słowo „osamotniona” trafniej oddawało to, co czuję. Zresztą to określenie brzmi o wiele ładnie. Lepiej jednak stawić temu czoło od razu, żeby mnie później nie zaskoczyło, żeby się nie okazało, że jestem jak sparaliżowana i nie potrafię odnaleźć drogi powrotnej do samej siebie.

Wdech. Wydech. Otwieram oczy i patrzę na te nowe drzewa.

Wiem, gdzie jestem i co to oznacza, że tu jestem. Wiem, że Mabel przyjeżdża jutro, czy tego chcę, czy nie. Wiem, że zawsze i tak jestem sama, nawet jeśli otaczają mnie ludzie. Dlatego pozwalam sobie na to poczucie pustki.

Niebo ma ciemnoniebieski odcień, każda gwiazda jest wyraźna i jasna. Moje dłonie leżące na nogach są ciepłe. Jest wiele sposobów bycia samemu. Wiem, że to prawda. Robię wdech (gwiazdy i niebo). Wydech (śnieg i drzewa).

Jest wiele sposobów bycia samemu i ostatnim razem nie było tak jak teraz.

Rano czuję się inaczej.

Spałam prawie do dziesiątej. Zbudził mnie dopiero warkot samochodu dozorczy na podjeździe pod moim oknem. Przyjechał, żeby odśnieżyć. Teraz już jestem po prysznicu i ubrana. Przez okno wpada światło dzienne. Wybieram playlistę i podłączam głośniki Hannah do komputera. Pokój wypełnia brzdąkanie gitary akustycznej, któremu towarzyszy kobiecy głos. Z czajnikiem w dłoni pchnięciem otwieram drzwi swojego pokoju i idę do łazienki po wodę. Piosenka dobiega do moich uszu nawet zza ściany. Drzwi łazienki też nie zamykam. Dopóki jestem tu jedyną lokatorką, muszę sprawić, żeby ta przestrzeń stała się bardziej moja.

Podczas gdy czajnik napełnia się wodą, patrzę na swoje odbicie w lustrze. Próbuje się uśmiechnąć tak, jak powinnam, kiedy przyjedzie Mabel. To powinien być uśmiech, który przekazywałby zarówno powitanie, jak i żal. Uśmiech z ukrytym znaczeniem, taki, który mówiłby wszystko, co powinnam jej powiedzieć, żebym już nie musiała szukać odpowiednich słów. Zakręcam kran.

Kiedy jestem z powrotem w pokoju, podłączam czajnik i biorę moją ulubioną żółtą miskę, która leżała odwrócona, żeby obeschnąć po wczorajszej kolacji. Nasypuję do niej granulę i wlewam resztę mleka z niewielkiej lodówki, wciśniętej pomiędzy biurkiem Hannah a moim. Dziś rano będę musiała wypić do śniadania czarną herbatę bez mleka.

Za siedem i pół godziny przyjedzie Mabel. Staję w progu, żeby popatrzeć na pokój tak, jak ona go będzie widzieć. Na szczęście Hannah wprowadziła tu trochę kolorów, jednak i tak

wystarczy chwila, żeby zauważyć kontrast pomiędzy jej częścią a moją. Poza kwiatkiem i miskami na parapecie nie ma tego wiele. Nawet moje biurko jest puste, bo dwa dni temu sprzedałam wszystkie podręczniki z ubiegłego semestru. Nie chcę, żeby Mabel zobaczyła książkę o samotności, więc wrzucam ją do szafy – tam też jest mnóstwo wolnego miejsca. Kiedy znów się obracam, dostrzegam, co wygląda najgorzej – moja tablica ścienna, na której nie ma kompletnie nic. Może i nie jestem w stanie wyćwiczyć odpowiedniego uśmiechu, ale z tym powinnam móc coś zdziałać.

Byłam w wystarczająco wielu innych pokojach w akademiku, żeby wiedzieć, co zrobić. Spędziłam mnóstwo czasu, patrząc na ścianę Hannah. Potrzebuję cytatów z piosenek, książek i wypowiedzi celebrytów. Potrzebuję zdjęć, pamiątek, biletów z koncertów, dowodów na jakieś wspólne żarciki. Większości z tych rzeczy nie mam, ale mogę się postarać coś spreparować za pomocą długopisów, papieru i drukarki, którą współdzielimy z Hannah. Jest taka piosenka, której słuchałyśmy często rano. Spisuję z pamięci refren fioletowym długopisem, a potem docinam kartkę równo z tekstem.

Trchę mi zajmuje, żeby wybrać zdjęcie księżycy.

Keaton, która mieszka dwa pokoje dalej, opowiadała nam wszystko o kryształach. Ma nawet własną kolekcję na parapecie, która zawsze błyszczy w świetle. Znajduję blog jakiejś Josephine, która wyjaśnia właściwości lecznicze kamieni szlachetnych i tłumaczy, jak ich używać. Wyszukuję zdjęcia pirytu (dla ochrony), hematytu (dla pewności siebie), jadeitu (dla pogody ducha). Nasza kolorowa drukarka klika i terkocze.

Teraz żałuję, że tak szybko sprzedawałam podręczniki. Wiele fragmentów zaznaczyłam karteczkami samoprzylepnymi, na wielu stronach były moje gryzmoły ołówkiem. Na historii uczyliśmy się o ruchu artystycznym Arts and Crafts, w podręczniku było kilka pomysłów, które mi się podobały. Wyszukuję informacje na temat Williama Morrisa i czytam jego kolejne teksty, żeby znaleźć swoje ulubione cytaty. Przepisuję kilka fragmentów, każdy innym kolorem długopisu. Przygotowuję też wersje różnymi czcionkami, gdyby się okazało, że lepiej wyglądają wydrukowane. Szukam zdjęcia sekwoi, które pasowałoby do moich wspomnień. Ale kończy się tym, że oglądam krótki dokument o ekosystemach sekwoi, z którego się dowiaduję, że w okresie letnim kalifornijskie sekwoje pozyskują większość wody z mgły i że stanowią mieszkanie dla salamander, które nie mają płuc i oddychają przez skórę. Drukuję zdjęcie salamandry na tle jasnozielonego mchu. Kiedy drukarka przestaje pracować, stwierdzam, że chyba mi wystarczy.

Pożyczam od Hannah garść pinezek i przypinam na tablicy wszystko, co sobie wydrukowałam i wypisałam, po czym robię krok w tył i patrzę. Wszystko jest zbyt świeże, zbyt nowe. Każda kartka ma ten sam odcień bieli. To bez znaczenia, że cytaty są ciekawe, a zdjęcia – ładne. Widać, że to rozpaczliwe oszustwo.

Dochodzi już trzecia, a ja zmarnowałam tyle godzin... Jest mi coraz trudniej oddychać, bo do szóstej trzydzięści już niedaleko. Mabel zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny na świecie, nawet jeśli w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy przez te cztery miesiące. Większość jej wiadomości do mnie

pozostawiałam bez odpowiedzi, aż w końcu przestała je wysłać. Nie mam zielonego pojęcia, jak wygląda jej życie w Los Angeles. A ona nie zna imienia Hannah ani nie wie nic o tym, jakie przedmioty wybrałam i czy dobrze śpię. Wystarczy jednak, że tylko spojrzy na moją twarz, i będzie wiedziała, jak sobie radzę. Dlatego ściągam wszystko z tablicy i zanoszę do łazienki w przeciwległym skrzydle budynku, po czym drę na kawałeczki i wrzucam do kosza na śmieci.

Nie uda mi się jej oszukać.

Drzwi windy się otwierają, ale nie wchodzę do środka.

Nie wiem, dlaczego nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam. Teraz jednak, w świetle dnia, kiedy do przyjazdu Mabel pozostało tak niewiele czasu, uświadamiam sobie, że gdyby winda się zepsuła, utknęłabym sama w środku. Jeśli nie dozwoniłabym się do obsługi albo nikt nie usłyszałby przycisku alarmu, byłabym uwięziona na dobre, dopóki dozorca nie pomyślałby, żeby sprawdzić, co u mnie. To trwałoby co najmniej parę dni. Tymczasem Mabel by przyjechała, ale nikt by jej nie wpuścił. Waliłaby w drzwi, a ja nawet bym jej nie słyszała. W końcu wróciłaby taksówką na lotnisko i czekała na lot powrotny do domu.

Pewnie by pomyślała, że to było do przewidzenia. Że ją rozczaruję. Że nie będę się chciała z nią zobaczyć.

Więc patrzę, jak drzwi zamykają się z powrotem, a sama idę w kierunku schodów.

Kiedy taksówka, którą wezwałam, czeka już na zewnątrz z włączonym silnikiem, idę od wejścia do akademika,

pozostawiając za sobą ścieżkę połamanego lodu. Jestem naprawdę wdzięczna Hannah za dodatkową parę butów, które są na mnie tylko trochę za ciasne, a które wcisnęła mi, kiedy spadł pierwszy śnieg. („Ty sobie nawet nie wyobrażasz, jak to wygląda”, powiedziała).

Taksówkarz wysiada, żeby otworzyć mi drzwi. Kiwam głową w podziękowaniu.

– Dokąd? – pyta, kiedy już oboje jesteśmy w środku.

Grzanie jest mocno podkreślone, z nawiewu wpada nieświeże powietrze, przesycone zapachem wody kolońskiej i kawy.

– Stop and Shop – odpowiadam. To moje pierwsze słowa w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Jarzące logo sklepu imitujące sygnalizację świetlną, ci wszyscy kupujący z wózkami, płaczące dzieci, świąteczna muzyka – to byłoby zbyt wiele, gdybym nie wiedziała dokładnie, co chcę kupić. Na szczęście część zakupowa jest prosta. Popcorn o smaku maślanym do mikrofali. Cienkie paluszki. Trufle z mlecznej czekolady. Czekolada na gorąco w proszku. Woda gazowana o smaku grejpfruta.

Kiedy wsiadam z powrotem do taksówki, jestem obładowana trzema ciężkimi torbami pełnymi jedzenia, które wystarczyłoby nam na tydzień, a przecież Mabel będzie tu tylko trzy dni.

Ogólnodostępna kuchnia jest na pierwszym piętrze. Ja mieszkam na drugim i dotąd jeszcze z niej nie korzystałam. Wyobrażam sobie, że dziewczyny pieką tu wspólnie brownies na wieczory filmowe albo że to miejsce spotkań przyjaciół, którzy od czasu do czasu mają ochotę coś ugotować, zamiast zjeść



na stołówce. Otwieram lodówkę i z zaskoczeniem odkrywam, że jest pusta. Pewnie musieli ją wyczyścić na czas przerwy. Zgodnie z instrukcją powinniśmy oznaczać wszystkie swoje rzeczy naszymi inicjałami, numerem pokoju i datą. Chociaż jestem tu sama, biorę marker i taśmę malarską. Po krótkim czasie jedzenie, oznaczone jako moja własność, wypełnia dwie z trzech półek lodówki.

W pokoju układam wszystkie przekąski na biurku Hannah. Na bogato – tak, jak chciałam. I wtedy właśnie mój telefon wibruje – przyszedł esemes.

„Już jestem”.

Przecież nie ma nawet szóstej! Powinam mieć jeszcze co najmniej pół godziny! Nie potrafię się powstrzymać i sama sobie zadaję tortury, kiedy przesuwam widok do góry i czytuję wszystkie wiadomości, które wcześniej wysłała mi Mabel. Z pytaniami, czy wszystko dobrze. Z zapewnieniami, że myśli o mnie. Z pretensjami, gdzie, kurwa, jestem. Z pytaniami, czy jestem zła, czy możemy pogadać, czy może mnie odwiedzić, czy za nią tęsknię. „Pamiętasz o Nebrasce?”, to nawiązanie do planu, którego nigdy nie zamierzałyśmy zrealizować. I tak dalej, i tak dalej. Seria esemesów bez odpowiedzi, które dręczą mnie poczuciem winy.

Z zamyślenia wyrывa mnie dopiero dzwoniący mi w rękę telefon. Gapię się z zaskoczeniem na ekran, po czym odbieram.

– Hej – mówi.

Po raz pierwszy, odkąd to wszystko się stało, słyszę jej głos.

– Jestem na dole i jest zajebiście zimno. Wpuścisz mnie?

Zaraz potem jestem przy głównych drzwiach. Oddziela nas tylko tafla szkła. Drżącą dłonią sięgam, żeby otworzyć zamek. Już dotykam metalu, ale zastygam na moment, żeby jej się przyjrzeć. Dmucha w ręce, próbując się rozgrzać. Twarzą jest zwrócona w przeciwnym kierunku. A potem obraca się do mnie i nasze oczy się spotykają. Sama nie wiem, jak mogłam kiedykolwiek pomyśleć, że będę w stanie się uśmiechnąć. Ledwie mogę przekręcić zamek.

– Nie wiem, jak ktokolwiek może żyć w miejscu, gdzie jest tak straszliwie zimno – stwierdza, kiedy otwieram drzwi, i wchodzi do środka.

Tu na dole też jest lodowato, więc zapewniam:

– U mnie w pokoju jest cieplej.

Ostrożnie biorę jedną z jej toreb, tak żeby nasze palce się nie dotknęły. Cieszę się jej ciężarem, kiedy jedziemy windą do góry.

Idziemy korytarzem w milczeniu, aż docieramy do drzwi mojego pokoju. Wchodzimy do środka, Mabel stawia walizkę na ziemi, a potem zdejmuje płaszcz.

Tak więc jest tu Mabel, w moim pokoju, trzy tysiące mil od miejsca, które kiedyś było moim domem.

Zauważa przekąski, które kupiłam. To jej ulubione przysmaki.

– No to – odzywa się – chyba dobrze, że przyjechałam.